

BIOETYKA: mity początku

AGNIESZKA KUTROWSKA

Zainspirował mnie artykuł meta-bioetyczny pt. *Origin Myths In Bioethics: Constructing Sources, Motives and Reason In Bioethic(s)*. Autorzy publikacji poprzez odwołanie się do mitów początku, tworzonych przez wielopokoleniowe społeczności ludzkie, zwracają uwagę na powszechną potrzebę ludzi do opowiadania historii tłumaczących ich czyny, zachowania, oraz – częstokroć – istnienie.

Mity początku próbują wyjaśniać przyczynę pewnych zjawisk naturalnych lub społecznych. Pokazują przodków wykonujących czynności później uważane za rytualne (lub po prostu tradycyjne). Członkowie społeczności plemiennych pytani przez antropologów, skąd biorą się elementy rytuałów i dlaczego się je wykonuje, odpowiadają zwykle: „Tak było zawsze robione, a zatem i my robimy”. Jak łatwo zauważyć, opowieści początku wyznaczają pewien schemat zachowań ludzkich i z góry tłumaczą wartości cenione przez plemiona. Według autorów artykułu, mity początku nie są po prostu historiami, które ludzie przekazują sobie nawzajem. Są raczej podstawami organizacji społeczeństwa i jako takie podtrzymują jego stabilność. Wyznaczają granice, dają grupom etnicznym tożsamość, historię, solidarność i możliwość odróżnienia się od innych grup.

Ale jak to się ma do bioetyki? Istnieje tendencja do tłumaczenia za pomocą zjawisk znanych antropologii kulturowej zachowań różnych „plemion” współczesnego świata, np. plemion naukowców, czy lekarzy. Bioetycy też tworzą określone społeczności ludzkie. Odgraniczają swoją działalność zawodową od działalności innych grup. Jak wszyscy ludzie, szukają celu, a może i także przyczyny istnienia (czyli – potrzeby, która dała początek ich zawodowi i tłumaczy zasadność działań). W tym wypadku mity początku nie będą opowieściami opowiadanymi przy ognisku, przekazywanymi przez starszych. Co więcej, nie będą przedstawiane jako coś, co ma wyznaczać standardy. W końcu szanowani bioetycy nie są ludźmi plemiennymi i raczej nie chcieliby być za takich uważani. Są jednak ludźmi, a pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Istnieją historie, które – gdy są opo-

wiedziane – zmieniają pogląd człowieka na różne sprawy. Niezależnie od naszych poglądów, jedna anegdota na wykładzie może „zmienić świat”. Tak subtelnie, że nawet tego nie zauważymy. Może wstrząsnąć, może rozbawić, a wtedy zawsze, kiedy dany temat pojawi się w dyskusji, przytoczymy ją. Te opowieści są jak samolubne memy – przyczepiają się do ludzi i chcą być opowiadane. Każdy wykładowca jest siewcą memów – nie bez powodu w późniejszej karierze mówimy o „szkołach” różnych profesorów. Pierwszy przykład przychodzący mi do głowy, ilustrujący taki mem dla biotechnologów, to historia talidomidu. Każdy studiujący biotechnologię ją zna i wiele razy słyszał. A jest to opowieść o życiu i śmierci, o pomyłce naukowców, która jest powszechnie znana w świecie biotechnologii. *Usłyszysz ją, zatrwożysz się. I będziesz bardziej ostrożny. Wykonasz setki doświadczeń, spędzisz lata nim lek znajdzie się na półkach sklepowych. Primum non nocere. Pamiętaj.* – Myślę, że w ten sposób mogłoby brzmieć przesłanie historii talidomidu, gdyby ktoś zechciał je ubrać w słowa.

Ten sam mechanizm działa oczywiście w przypadku bioetyków. Istnieją memy, które nadają ogólny kształt ich światopoglądowi. W dodatku ich środowisko, jak wskazują na to autorzy artykułu, nie jest tak jednolite jak moglibyśmy przypuszczać. W publikacji znalazł się podział bioetyki na pięć wielkich szkół, pięć mitów początku leżących u jej podstaw. A każda z nich – inna. Czy zatem można mówić o „bioetyce”? Czy też może bardziej odpowiednim byłoby wyrażenie „nauki bioetyczne”? W ostatecznym rachunku wszystko zależy od ilości różnic pomiędzy poszczególnymi szkołami. Na pierwszy rzut oka, mimo istniejących wariantów, można postawić na „bioetykę”. W końcu jest wiele odcieni szarości. Gdy jednak bardziej wgrzyziemy się w temat, zauważamy, że i czas, i miejsce, a także ludzie, wartości, postawy i misje dzielą bioetyków na odrębne klany. Artykuł *Origin Myths...* wskazuje na trzy różne sposoby pojawiania się mitów bioetycznych. Część z nich zaczęła się jako reakcja na coś, inna część jako przewidywanie czegoś, jeszcze inna – w wy-

niku naturalnej ewolucji. Na tej podstawie można podzielić bioetykę na reaktywną, pro-aktywną i ewolucyjną.

Z tych trzech typów najbardziej przemawia do mnie bioetyka reaktywna. Dzieli się ona na dwie duże gałęzie, zupełnie inne, ale komplementarne wobec siebie. W wolnym tłumaczeniu nazwę je „Zbyt wiele wyborów!” (*Too many choices!*), oraz „Naukowcy oszaleli!” (*Science gone mad!*). Nieprzypadkowo autorzy artykułu wybrali ten sposób zapisu, niby z pierwszej strony gazet. Nauka szokuje i przeraża. Ktoś coś [patrz: bioetycy] musiał zrobić, żeby ogarnąć to szaleństwo i wziąć je w karby.

Po drugiej wojnie światowej nastąpił ogólny rozwój nauki. Pojawiło się wiele technik, wiele idących się nimi możliwości (techniki rozmnażania, przeszczepy organów itp.). Naukowcy i lekarze przestali wierzyć w wystarczalność nauki. Zobaczyli nowe problemy moralne, które wynikały z ich praktyk, a których nie mogli już (z tego co widzieli) sami rozwiązać. I tak jak nie dając sobie rady z chwastami zatrudniamy ogrodnika, tak świat nauki zatrudnił, cytuję, „wolnomyślicieli, renegatów i uchodźców ze starych światów studiów religijnych, filozoficznych, prawa i społeczeństwa”. Ten mit początku pokazuje nam naukę i bioetykę idące ręką w rękę przez świat pełen wątpliwości moralnych. Przemawia do mnie wizja samokrytycznych naukowców, wspólnie rozwiązujących problemy z innymi fachowcami. Zawsze znajdują się ludzie, którzy lubią wypłynąć na fali strachu.

Problem, podjęty w drugiej gałęzi bioetyki reaktywnej, najlepiej pokazuje przykład komórek macierzystych. Komórki macierzyste mogą ratować życie. Są obciążone wieloma wątpliwościami, ale badania trwają i szuka się nowych rozwiązań żeby uniknąć konfliktów z ludzką moralnością. Naukowcy w końcu też są ludźmi. Iu polityków trzeba, żeby zniszczyć badania tysięcy naukowców nad terapią ratującą życie, finansowaną przez różne organizacje np. WHO? – można by wymyślić taki dowcip. Odpowiedź – jeden. Jeden polityk sięgający po władzę wystarczy, by rozbuchać nagonkę na naukowców, nieufnie nastawiać społeczeństwo, a potem – niczym



kwoka biorąca pod swoje skrzydła kurczęta – stać się orędownikiem prawdy i moralności dla milionów. Wrzucając wszystko do jednego garnka politycy skutecznie sięją strach. Biotechnologia jest zła – mówi prezydent, którego notowania spadają i chce zakazać tych czarodziejskich praktyk, nie wiedząc, że (a) najprawdopodobniej szczepi wnuczkę przeciwciałami zrobionymi przez złą biotechnologię; (b) pozbyłby się z kraju większości insuliny niezbędnej do życia wielu ludziom. Taki mogłabym dać hipotetyczny przykład niszczącej działalności fałszywego PR dla kilku minut sławy. Ilu ludzi dałoby się na to złapać? Lepiej nie myśleć.

Oczywiście, są sytuacje, gdy naukowcy przekraczają pewne granice. Bardzo sławna była sprawa Tuskegee – badań prowadzonych nad przebiegiem kiły wtórnej, kiedy grupę kontrolną 400 mężczyzn rasy czarnej zostawiono bez opieki medycznej. Jest to jedna ze spraw, które dały życie ruchowi „Naukowcy oszaleli!”. Wówczas to filozofowie, prawnicy i ustawodawcy, którzy wcześniej małą uwagę przykładali do medycyny, stali się nagle głęboko zatroskani stanem etyki badań. Wywodzący się stąd bioetycy mają być świadkami, „dmuchaczami w gwizdek” (*whistleblowers*) i mają patrzeć naukowcom na ręce. Na szczęście od tamtej pory obie strony – nauka i społeczeństwo – zrobiły krok dalej.

Bioetyka jako proaktywna dziedzina pojawiła się w świecie nagłego pluralizmu aksjologicznego. Ludzie (czyli już nie tylko naukowcy) znaleźli się w świecie, w którym upadły dawne zasady. Lub też – w którym dawne zasady przestały się sprawdzać. Dla medycyny oznaczało to, że pacjenci stali się bardziej świadomi swoich praw. Nie chodzi tu o to, że wcześniej ich prawa nie były przestrzegane. Po prostu, wcześniej więcej spraw zawierzali lekarzom i nie męczyli się myślami, czy to moralne, czy nie. – Ale, czy będzie się męczył? – Czas pokaże. – Zawsze chciał umrzeć z uśmiechem na ustach...

Całe społeczeństwo ewoluowało w stronę samoświadomości. Sprawy takie, jak opieka nad umierającymi, prawo do śmierci, czy też godna śmierć, zostały podjęte w debatach i działaniach prawnych. Wypączkowało wtedy wiele organizacji działających na rzecz dobra pacjentów. Sytuacja ta „stworzyła” bioetyków, działających jako adwokaci ludzkich historii. Mielili oni, jak równi z równymi, rozmawiać z lekarzami i naukowcami, przedstawiać punkt widzenia typowego człowieka i nie dać skrzywdzić swojego klienta.

Ruch pro-aktywnej bioetyki ma jeszcze co najmniej jeden wariant. Bio-

etycy to ludzie, którzy chcą pomóc w porozumieniu między nauką a ludzkością. Obie te grupy mówią innymi głosami i nie potrafią znaleźć nici zrozumienia. A zatem bioetyka zostanie „mostem do przyszłości” (*Bioethics: bridge to the future* – to z książki o tym samym tytule) i zbuduje most między dwoma kulturami. Jest to ciekawy pogląd, chociaż bardzo utopijny. Wydaje mi się, że przyciągał do siebie największą grupę idealistów, czy też etycznych mesjaszy.

Dla niektórych ludzi bioetyka jest jedną z nowomodnych dziedzin, powstałych w trakcie boomu na bionaukę w dwudziestym wieku. W reakcji na coś, lub w przewidywaniu czegoś. Natomiast sami bioetycy ewolucyjni nie uważają, że wzięli się znikąd. Wierzą, że są spadkobiercami greckich (i nie tylko) myślicieli, a ich dziedzictwo bierze się z tradycyjnej etyki medycyny. Bioetyka w tym rozumieniu powinna pilnować rozbrykanej medycyny, grozić palcem i autorytarnie przypominać o zasadach, które przecież istnieją co najmniej od Hipokratesa. Powinna być swego rodzaju kuratorem. Istota tego nurtu: rzeczy wypowiedziane przed wiekami radzą sobie ze współczesnymi dylematami moralnymi – człowiek jest ten sam, ma po prostu nowsze zabawki.

Wszystko to pięknie i dumnie brzmi, jednakże istnieją pewne niedociągnięcia tej teorii. Cały nurt opiera się na uproszczeniach – coraz więcej danych wskazuje, że przysięga Hipokratesa została stworzona w małej grupie ludzi, która była bardziej sekta, niż głównym nurtem greckiej medycyny. Co więcej, „tradycyjna etyka medycyny” nie istniała na Zachodzie aż do Renesansu. Także greckie umiłowanie zalet było głównie greckim umiłowaniem męskich (sic!) zalet. Żeby być odpowiednio traktowanym, trzeba było być urodzonym w dobrej rodzinie. Wszystko to ciężko jest przełożyć na współczesny grunt. Ale wiara, że kiedyś było „lepiej, sprawliwiej, spokojniej”, jest, jak się okazuje, zjawiskiem dla ludzi powszechnym i znany bardzo dobrze nie tylko w Polsce.

Podsumowując: bioetyka nie jest nauką spójną. Ma wiele korzeni, wiele mitów początku, które dość sprawnie wyznaczają jej granice i cele. Różne typy bioetyki można oczywiście łączyć. Różnorodność jest wszakże bardzo interesująca. Ale najbardziej interesującym z tego wszystkiego wydaje mi się fakt, jak dobrze wszystkie te zjawiska są tłumaczone plemiennymi mitami początku. Cóż, jesteśmy ludźmi i ilu ubrań byśmy nie założyli, zawsze będziemy rządzani przez pewne odwieczne prawa.

